

— I R E N E A D L E R —

SHERLOCK LUPIN & JA

TRIO

CZARNEJ DAMY

SAINT-MALO

1870



WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

Wszystkie nazwy, postaci i związane z nimi oznaczenia zawarte w książce należą do Atlantyca Dreamfarm s.r.l., na wyłącznej licencji Atlantyca S.p.A. w ich oryginalnej wersji. Ich tłumaczenia oraz wszelkie adaptacje są własnością Atlantyca S.p.A.

© 2011 Atlantyca Dreamfarm s.r.l., Italy

© 2013 for this book in Polish language by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2013

Pomysł serii: Pierdomenico Baccalario

Tekst: Alessandro Gatti from the correspondence of Irene Adler

Oryginal edition published by Edizioni Piemme S.p.A., Italy

Tytuł oryginału: *Sherlock, Lupin e Io. Il trio della dama nera*

International Rights © Atlantyca S.p.A., via Leopardi 8, 20123 Milano, Italy – foreignrights@atlantyca.it – www.atlantyca.com

Żadna z części tej książki nie może być przechowywana, odtwarzana, przesyłana w żadnej postaci, także przy użyciu nośników elektronicznych lub mechanicznych, włącznie z kopiowaniem, nagrywaniem, użyciem systemu przechowywania i wyszukiwania danych, bez zgody właściciela praw autorskich.

W tym celu należy skontaktować się z Atlantyca S.p.A.

Tłumaczenie: Katarzyna Kolasa-Garibotto

Redaktor prowadzący: Agnieszka Skórzewska

Redakcja: Marzena Zielonka

Korekta: Magdalena Wosiek

Opracowanie graficzne i DTP: Bernard Ptaszyński

ISBN 978-83-7895-559-7

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 96

Tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51

www.zielonasowa.pl

wydawnictwo@zielonasowa.pl

Irene Adler

Trio Czarnej Damy

Ilustracje
Iacopo Bruno



WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA



TRÓJKA PRZYJACIOŁ



Myśle, że nikt nie będzie mógł mi zaprzeczyć, jeśli napiszę, że byłam pierwszą i jedyną przyjaciółką Sherlocka Holmesa – tego słynnego detektywa. Jednak kiedy się poznaliśmy, on nie był jeszcze detektywem, ani tym bardziej nie był słynny. Ja miałam dwanaście lat, a on był niewiele starszy ode mnie.

Było lato.

Dokładnie lipiec. Szóstego.

Ciągle doskonale pamiętam moment, w którym spotkałam go po raz pierwszy; siedział w kącie na skalnych ścianach bastionów, opierając się o wszędobylski bluszcz. Za nim było tylko morze: ciemnogranatowa, wibrująca połąć, a po niebie krążyły mewy, wykonując powolne spirale.

Mój przyjaciel siedział z podciągniętymi pod brodę kolanami i był całkowicie pochłonięty książką, którą czytał tak zachłannie, jakby od tej lektury zależało coś niezwykle ważnego dla całego świata.

Chyba nigdy nie zauważyłby mojej obecności i nigdy byśmy się nie poznali, gdyby nie zaciekawiała mnie ta ogromna, szalona koncentracja i gdybym nie podeszła do niego, żeby mu przeszkodzić.

Ponieważ dopiero co przyjechałam do Saint-Malo, zapytałam go, czy on tutaj mieszka.

Odpowiedział mi, nawet nie odrywając wzroku od książki:

– Nie – powiedział. – Mieszkam w domu, na Rue Saint Saveur, pod numerem 49.

„Też mi poczucie humoru!” – pomyślałam. Pewnie, że nie mieszkał tam, na bastionie obok morza. „*Tou-*

ché” – powiedziałam sobie i zrozumiałam, że gra między nami właśnie się rozpoczęła.

Byłam obca.

Dopiero co przyjechałam do Saint-Malo. Podróż pociągiem z Paryża była długa i męcząca. Mieliśmy wakacje i to moja mama zaproponowała, żeby spędzić je właśnie w tym miasteczku.

Nie tylko byłam zadowolona – byłam wprost wniebowzięta! Do tej pory widziałam morze tylko raz czy dwa: kiedy towarzyszyliśmy tacie w podróży do Calais, gdzie zaokrętował się na statek płynący do Anglii i raz do San Remo, we Włoszech. Wszyscy mówili, że byłam za mała, żeby to pamiętać, ale ja to morze pamiętałam, naprawdę pamiętałam.

Dlatego myśl, że miałam spędzić całe lato 1870 roku w małej, nadmorskiej miejscowości turystycznej wydała mi się po prostu cudowna. I chętnie posłuchałabym rady mojego taty, który powtarzał ciągle: „Jeśli chcecie, zostańcie tam jeszcze jakiś czas. Nie ma przecież żadnej potrzeby, żebyście wracały do Paryża”.

Ale prawda była taka, że moja mama wolała mieszkać w mieście. A ja po wakacjach miałam wrócić do

szkoły... Gdyby nie to lato. Lato, które odmieniło całe, dokładnie całe moje życie.

Podróż była okropna. Nie była to oczywiście wina powozu, który mój tata wynajął, nie bacząc na koszty, jak zwykle zresztą, gdy w grę wchodziło zapewnienie wygod mnie lub mamie. Był to iście królewski powóz z czterema czarnymi końmi, woźnicą w cylindrze i siedzeniach pokrytymi poduszkami z chińskiego jedwabiu. Niemniej jednak sześć godzin podróży pod bacznym okiem mamy i pana Nelsona były dla mnie prawdziwą wiecznością.

Pan Horacy Nelson był czarnoskórym majordomusem w domu Adlerów; bardzo wysoki, bardzo milczący i szalenie przejmował się wszystkim tym, co robiłam. Większość służby domowej pojechała do Saint-Malo już tydzień wcześniej, żeby przygotować to, co miało być naszym wakacyjnym domem i pan Nelson był jedynym, który z nami pozostał.

Nie odrywał ode mnie wzroku.

I kiedy tylko mógł, mówił mi: „To chyba nie jest dobry pomysł, panienko Irene”.

„To chyba nie jest dobry pomysł” – zawsze tak mi mówił.

Może to właśnie z tego powodu przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekłam i poszłam wietrzną ścieżką, prowadzącą do bastionów Saint-Malo.

Nasz wakacyjny dom był dwupiętrową willą. Nie wielką, ale bardzo ładną, z dużym przeszkleniem w dachu i z tymi oknami, które Anglicy nazywają *bow-window*, „okna łukowe”, a które ja jako dziecko nazywałam „brzuchatymi oknami”.

Była altana pełna glicynii i dużo pnącego się bluszczu, który pokrywał fasadę domu. Gdy mama go zobaczyła, od razu powiedziała: „O, niebiosa, będziemy mieli zawsze pełno przeróżnych bestii”, a mnie zajęło trochę czasu, zanim zrozumiałam, co miała na myśli.

Stało się to kilka dni później, kiedy zostawiłam w pokoju otwarte okna i zobaczyłam wijącego się po podłodze zaskrońca.

– To chyba nie jest dobry pomysł, panienko, żeby zostawiać na noc otwarte okna – powiedział srogo pan Nelson, wchodząc do pokoju. Wziął kominkowy pogrzebacz, a ja krzyknęłam:

– Niech pan nawet nie próbuje, panie Horacy Nelsonie!

Wtedy on westchnął, odłożył pogrzebacz, chwycił zaskronica za ogon i powiedział:

– Proszę mi pozwolić odnieść swojego gościa do ogrodu.

Nelson był gburowaty, ale wiedział jak mnie rozśmieszyć. Od czasu do czasu.

Gdy tylko wyszedł z pokoju, wraz z wijącym się „moim gościem”, nagle otworzyły się drzwi szafy i ukazała się w nich pociągła, chłopięca twarz.

To był mój drugi wielki przyjaciel tego długiego lata.

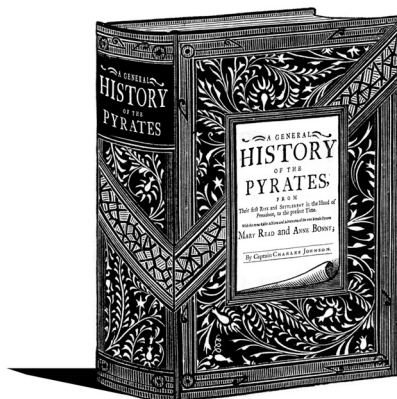
Nazywał się Arsène Lupin – tak jak ten słynny złodziej-dżentelmen. Tylko że wtedy jeszcze nie rozpoczął swojej błyskotliwej kariery międzynarodowego złodzieja. Ani nie był dżentelmentem, biorąc pod uwagę, że miał tylko dwa lata więcej ode mnie i trochę mniej niż Sherlock Holmes.

Teraz, kiedy już wiecie, jak nazywali się moi przyjaciele, możecie sobie łatwo wyobrazić, że tamtego lata wydarzyło się wiele spraw, które zasługują na to, żeby o nich opowiedzieć.

Będzie więc lepiej, jeśli zacznę od początku.



SZTUKA UCIECZKI



Touché – powiedziałam głośno. Oparłam dłonie na biodrach i przechyliłam lekko głowę. Wiedziałam, że mama robi tak za każdym razem, kiedy domaga się uwagi taty. Wyglądało jednak na to, że Sherlock Holmes nie miał najmniejszego zamiaru poświęcać mi ani trochę swojej uwagi.

– Co czytasz? – zapytałam go.

– Książkę.

– Czytasz wszystkie słowa, czy tylko co któreś?

Moja trywialna odzywka zdołała go zdenerwować. Wsunął palec w środek książki, żeby wiedzieć, gdzie skończył czytać i odwrócił się w moją stronę, wbijając we mnie swoje palące spojrzenie.

– Wiesz kim był René Duguay-Trouin? – zapytał.

– Nie.

– Aj! – odpowiedział. – Kiepska zdolność obserwacji.

I, powiedziawszy to, ponownie wsadził nos w książkę.

Kilka lat później odgryzłabym mu się jak należy, ale tamtego dnia nie śmiałam. Poza tym byłam zbyt zadowolona z faktu, że mam przed sobą całe lato w tej bajecznej, nadmorskiej miejscowości i nie chciałam kłócić się z pierwszą osobą, jaką napotkałam po wyjściu z domu.

Przypuszczałam, że mama była zajęta wydawaniem poleceń służbie na temat tego, jak i gdzie mają rozpakować nasze bagaże, ale ja naprawdę nie miałam zamiaru stracić całego popołudnia w ten sposób! Znalazłam małą furtkę w tylnej części ogrodu, otwo-

rzyłam ją i stamtąd dotarłam do krętych uliczek Starego Miasta, do cypla i do murów obronnych.

Ten chłopiec był pierwszą osobą, jaką spotkałam. Nic o nim nie wiedziałam, oprócz tego, że był bardzo źle wychowany i że mówił po angielsku. Postanowiłam go ignorować.

Przybliżyłam się do balustrady bastionu i spojrzałam w dół. Kapryśnie postrzępiony pas białego piasku rozciągał się w dal, zupełnie jakby chciał objąć granat morza. Popatrzyłam na niewielki port, na cypel i wreszcie na dwie wysepki znajdujące się nie więcej, niż sto metrów od brzegu.

Potem odwróciłam się i dopiero wtedy zauważyłam znajdującą się kilka kroków od nas statwę na cokole.

– René Duguay-Trouin – szepnęłam, cmokając.

Teraz już wiedziałam, kim był.

– To bohater mórz – powiedziałam głośno, przyglądając się dobrze posagowi.

Wskoczyłam na balustradę i usiadłam na niej. Słyszałam rozbijające się za mną fale, a poczucie pustki spowodowane wysokością bastionów było wprost odurzające.

– To był korsarz – poprawił mnie.

Przewrócił kilka kartek swojej książki i mówił dalej:

– Urodził się w tym mieście, w 1673 roku. Był ósmym z dziesiątki dzieci. Piątka z nich zmarła prawie zaraz po urodzeniu.

– Ale on nie.

– Nie. On zaokrętował się na statku i stał się jednym z najsłynniejszych piratów swojej epoki.

Machałam nogami w powietrzu, udając, że już go wcale nie słucham. Wtedy on przestał mówić i udawał, że czyta.

W ten sposób spędziliśmy kilka minut, ale potem przylapałam go, jak podpatruje mnie znad książki.

Chciało mi się śmiać.

I zaśmiałam się.

– No co? Co ci się dzieje? – zapytał.

– Śmieję się, bo mi się przyglądasz.

– Nieprawda – skłamał.

– Prawda, prawda. Przyglądałeś mi się znad książki.

– Uff! – parsknął, próbując wygodniej usadowić się w niewielkim, pokrytym bluszczem kącie.

– W każdym razie, mam na imię Irene – odpowiedziałam wesoło. Nie mogłam przestać się śmiać. Pat-

rzyłam na statwę tego pana w kapeluszu, ze szpada w dłoni i myślałam o tych wszystkich niepotrzebnych informacjach, jakich właśnie dowiedziałam się od tego chłopca. Korsarz, pirat, bla, bla, bla... Te same, co zwykle puste słowa chłopaków.

– A ty? Masz jakieś imię?

– Mam nawet dwa: William Sherlock – odpowiedział sarkastycznie. – Ale wszyscy nazywają mnie po prostu Williamem... Chyba Sherlock wydaje im się zbyt ekscentryczne!

Pamiętam dokładnie, że długo zastanawiałam się w milczeniu, aż w końcu powiedziałam:

– E tam, moim zdaniem oni się mylą! William to jest takie zwykłe imię... Sherlock bardziej ci pasuje, wiesz?

– Skoro ty to mówisz...

– Pewnie, że to mówię. I powiem więcej: już postanowiłam! Dla mnie będziesz Sherlockiem!

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Przecież to tylko imię...

Wtedy go zapytałam:

– Od wielu miesięcy mieszkasz w Saint-Malo ze swoim rodzeństwem?

Uniósł jedną brew.

– Powiedziałeś, że mam kiepską zdolność obserwacji, prawda? – Wskazałam mu na statwę. – Może i masz rację. Ale wiem, że nie jesteś Francuzem, bo rozmawiamy po angielsku i masz za dobry akcent jak na kogoś, kto uczył się języka tylko w szkole. Poza tym... nie masz typowego ubrania jak na wypoczywającego nad morzem letnika, stąd wywnioskowałam, że mieszkasz tutaj już od jakiegoś czasu. Na dodatek masz przygnębiony wyraz twarzy jak ktoś, kto dopiero co z kimś się pokłócił albo uciekł z domu, jak właśnie ja zrobiłam. I jeszcze jedno: twoja marynarka jest pognieciona, brakuje ci jednego guzika, a kiedy opowiadałeś mi o tym, że piątka rodzeństwa korsarza zmarła, błyszczały ci oczy, dlatego pomyślałam, że... ten chłopiec właśnie pokłócił się ze swoim... bratem – wzięłam głęboki oddech. – Ile z moich stwierdzeń zgadza się z prawdą?

Oczy Sherlocka były przepelnione szczerym zaskoczeniem. Było to zupełnie inne spojrzenie od tego genialnie zimnego, jakie wszyscy poznają wiele lat później, kiedy ten chłopiec stanie się największym detektywem świata.

Zamknął książkę, a ja uśmiechnęłam się do siebie. Wyglądało na to, że przyciągnęłam jego uwagę.

– Za to ty mówisz po angielsku, ale nie jesteś Angielką.

– Jestem Amerykanką – wyprzedziłam go, odbierając mu tym samym możliwość zgadywania.

– Ale mieszkasz w Paryżu.

– Dokładnie – i zastanawiałam się, jak na to wpadł. Miałam na sobie letnią sukienkę, białe buty i skarpetki: absolutnie nic bezceremonialnie paryskiego. – Tak bardzo to widać?

Sherlock się zaśmiał.

– Nie, wcale. Zgadywałem. Ale... nie masz odpowiednich butów do chodzenia po plaży albo kamieniach... Czyli dopiero co przyjechałaś. Powiedziałaś, że właśnie uciekłaś z domu, wnioskuje więc, że nie jesteś tutaj przejazdem. Ale nie wyglądasz mi na wystraszoną jak ktoś, kto ucieka ze strachu przed czymś. Zatem uciekłaś z innych powodów. Być może jesteś na wakacjach z rodzicami.

Miał spokojny, kojący głos. Prawie melodyjny.

Spodobała mi się ta gra.

– A mam siostry?

William Sherlock zastanawiał się przez kilka chwil, po czym pokiwał głową.

– Nie.

– A braci?

– Myślałem o tym. Na podstawie tego co mówiłaś, powiedziałbym, że tak – masz starszego brata.

– Pudło, Sherlocku!

– Jesteś jedynaczką.

– Ha, ha, ha! – wymachiwałam nogami. – Ale niezły jesteś. Prawie wszystko zgadłeś, z wyjątkiem moich rodziców, bo jest tylko moja mama...

– Przykro mi – powiedział pospiesznie Sherlock. – Nie chciałem...

– No coś ty! Źle mnie zrozumiałeś. Mój tata ma się świetnie, tylko że nie przyjechał z nami na wakacje. Wiesz, musi pracować. Zajmuje się kolejnictwem. Ale to on wybrał to miejsce. Przyjechaliśmy w trójkę: ja, moja mama... i pan Nelson.

Spojrzałam na labirynt wąskich i krętych uliczek, którymi przyszłam i wyobraziłam sobie, że widzę jak nagle ukazuje się w nich nasz służący – zdyszany i jak zawsze zaniepokojony. I zupełnie nie zauważyłam, że kiedy opowiadałam Sherlockowi o moim tacie, na jego twarzy pojawił się cień smutku.

Wtedy nie mogłam jeszcze wiedzieć, że jego tata nie żył już od ośmiu lat.

– Co czytasz?

Sprawdził okładkę, zupełnie jakby zapomniał tytułu.

– To *Historia najśłynniejszych piratów...* autorstwa Kapitana Johnsona.

– Interesująca?

– O tak! Bardzo.

– A ty byś chciał?

– Co?

– Być piratem.

Zanim odpowiedział, znowu się zaśmiał.

– Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Ja bym chciała. I byłabym świetnym piratem. Czy piratką?

– Piratką, chyba. Nawet jeśli nie było ich wiele.

– To źle! Ale ja nią będę! Będę wydawać wszystkim polecenia i będę miała dla siebie całą wyspę. Załoga, na prawą burtę! Na lewą burtę!

Sherlock zrobił rozbawioną minę.

Właśnie wtedy usłyszałam głos pana Nelsona; rozbrzmiewał gdzieś pomiędzy uliczkami miasteczka i był jeszcze dość odległy. Pan Nelson powtarzał bez końca moje nazwisko:

– Panienko Adler! Panienko Adler!

„Ale wstyd! – pomyślałam. – Żeby dać się poznać w obcym miejscu w taki sposób!”.

Mój nowy przyjaciel przyglądał mi się, chcąc sprawdzić moją reakcję.

Zeskoczyłam z murku. Popatrzyłam na port, na morze i na domy odległe o kilkaset metrów od cypla. Przez chwilę wyobraziłam sobie ten przylądek jak prawdziwą wyspę skarbów, z galeonem i powiewającą na nim czarną flagą.

– Chyba muszę wiać, Sherlocku... – powiedziałam.

– Pan Nelson, nasz służący, będzie tutaj lada chwila.

– Wiać?

– Wiać, dobrze słyszałeś. Nie chcę, żeby mnie odprowadził do domu.

– Sprawia wrażenie zaniepokojonego.

– Ale wcale taki nie jest. To moja mama wysłała go, żeby mnie szukał. Czy wrócę teraz razem z nim, czy później, i tak dostanę burę. To już lepiej być zganioną za coś.

– Doskonale cię rozumiem.

Skierowałam się w stronę kamiennych schodków, które – jak mi się zdawało – prowadziły z bastionu na plażę.

– Poza tym... – powiedziałam, udając, że się oddalam – nie mam najmniejszego zamiaru spędzić popołudnia na układaniu w szafie bielizny i ubrań... albo, co gorsza, na graniu w karty.

– Co za horror! – skomentował. Nie wiem, czy miał na myśli ubrania, czy karty.

Naturalnie wszystko to było tylko pretekstem, zwykłą grą między mną a nim, bo moja mama nie grała w karty, a układaniem ubrań i bielizny zajęły się pokojówki. Ale Sherlock oczywiście nie mógł o tym wiedzieć.

– Panienko Adler! – rozbrzmiewał już blisko głos pana Nelsona.

Oparłam ręce na biodrach.

– To co, Sherlocku? Co masz zamiar zrobić? Będziesz nadal czytał tę twoją książkę czy... pomożesz mi uciec?

Sherlock zastanowił się jeszcze przez chwilę, potem zamknął książkę o piratach i włożył ją do niewielkiej materiałowej torby na ramię.

– Tędy... – poradził mi.

Zatrzymał się przed uliczką tak wąską, że wyglądała prawie jak szczelina między skałami. Wyminął mnie,

żeby pójść przodem i wtedy niechcący dotknęliśmy się dłońmi. Od razu cofnął rękę jak oparzony. Potem odwrócił się do mnie plecami i szedł, nie odzywając się do mnie, jak mi się wydawało, przez bardzo długi czas.

Szedł bardzo szybko, długimi krokami, a ja podążałam za nim, zaciekawiona, prześlizgując się między uliczkami i schodzącymi nad morze schodkami. Szliśmy wzdłuż bastionów, w kierunku portu.

– Dokąd idziemy? – zapytałam Sherlocka.

– Do mojego przyjaciela.

Był wysoki, szczupły, a bawełniana marynarka trzepotała na jego wystających żebrach.

Za każdym razem, kiedy się zatrzymywał, lekko się garbił, jakby próbował ukryć się we własnych ramionach, lecz gdy tylko zaczynał iść dalej, jego plecy od razu prostowały się jak żagiel.

– A czym się zajmuje ten twój przyjaciel?

– Ma małą łódkę. Nie jest jego, należy do jego ojca, ale... zazwyczaj możemy jej używać.

– Łódkę?

– Bardzo małą.

– I chciałbyś jej użyć, żeby popłynąć... w morze?

– Zazwyczaj w ten sposób używa się łódek.

Nie mogłam w to uwierzyć: dopiero co przyjechałam do nowego miasta i nie tylko poznałam pewnego chłopaka, ale na dodatek ten chłopiec zapraszał mnie na łódkę!

– Ale... to fantastycznie! – wykrzyknęłam rozpromieniona.

I w ten oto sposób Sherlock Holmes zaprowadził mnie do niewielkiego portu, gdzie poznałam jego tajemniczego przyjaciela.

Jeśli miałabym wskazać dokładny moment, w którym zaczęły się nasze kłopoty to... no właśnie... sądzę, że to było wtedy.

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl